

FREDRIK BACKMAN  
MĘŻCZYŻNA  
IMIENIEM  
OVE

PRZEŁOŻYŁA ALICJA ROSENAU

MARGINESY

*En man som heter Ove*

COPYRIGHT © Fredrik Backman 2012

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Wydawnictwo Marginesy  
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,  
Warszawa 2022

*Dla Nedy. Wszystko tylko po to,  
żeby Cię rozśmieszyć. Zawsze.*

## Mężczyzna imieniem Ove kupuje komputer, który nie jest komputerem

Ove ma pięćdziesiąt dziewięć lat. Jeździ saabem. Jest typem człowieka, który ludzi niebudzących w nim ciepłych uczuć pokazuje palcem, jak gdyby byli włamywaczami, a jego palec wskazujący policyjną latarką. Stoi przed ladą sklepu w rodzaju tych, do których ludzie w japońskich autach przyjeżdżają kupić białe kabelki. Ove przygląda się sprzedawcy przez kilka chwil, a potem macha w jego stronę niewielkim białym kartonem.

– Aha! A więc to jest ten ajpot, tak? – dopytuje się Ove.

Sprzedawca, młody chłopak z jednocyfrowym BMI, ma wyraźnie jakiś problem. Jakby ze wszystkich sił starał się stłumić impuls, żeby natychmiast wyrwać pudełko z rąk Ovego.

– Tak. To iPad. Ale naprawdę byłoby lepiej, gdyby pan nim tak nie wymachiwał.

Ove przygląda się kartonowi, jakby ten nie zasługiwał na zaufanie. Jakby karton jeździł skuterem, nosił sportowe buty, ni stąd, ni zowąd zaczął nazywać Ovego „kumplem”, a potem spróbował opchnąć mu zegarek.

– Ach tak! Znaczy się to jest komputer, tak?

Sprzedawca potwierdza skinieniem. Ale potem zmienia zdanie i zamiast tego szybko kręci głową.

– Tak... czy raczej, to znaczy to jest iPad. Niektórzy mówią na niego „tablet”, a inni „urządzenie mobilne”. Różnie można na to patrzeć...

Ove spogląda na sprzedawcę, jakby ten nagle zaczął mówić do niego od tyłu.

- Aha!

Sprzedawca, trochę zdezorientowany, kiwa głową.

- Taaak...

Ove znów potrząsa kartonem.

- A czy on jest dobry, ten tutaj?

Sprzedawca drapie się po głowie.

- Tak. To znaczy... co pan ma na myśli?

Ove wzdycha i zaczyna mówić bardzo powoli. Artykułuje słowa tak, jakby jedynym problemem w tej rozmowie było to, że sprzedawca niedosłyszy.

- Czy. Ten. Jest. Dooobry? Czy to dobry komputer?

Sprzedawca drapie się w podbródek.

- Otóż... tak... to świetny sprzęt... ale zależy, jaki ktoś chce mieć komputer.

Ove patrzy na niego podejrziwie.

- Ja chcę mieć komputer! Zwyczajny komputer komputer!

Na krótką chwilę między mężczyznami zapada milczenie.

Sprzedawca odchrząkuje.

- Tak, no więc tak właściwie to nie jest zwyczajny komputer. Może wolałby pan mieć... - Sprzedawca milknie, najwyraźniej szuka słowa, które stojącemu przed nim mężczyźnie mogłoby cokolwiek powiedzieć. Ponownie chrząka i mówi: - ...na przykład laptopa?

Ove z przekonaniem potrząsa głową i nachyla się groźnie nad ladą.

- Nie, tego nie chcę, do CHOLERY. Ja chcę komputer!

Sprzedawca kiwa głową ze zrozumieniem.

- Laptop to jest komputer.

Ove spogląda na niego z urazą, potem demonstracyjnie przyciska swój latarkowy palec do blatu lady.

- Przecież wiem!

Sprzedawca przytakuje.

– Okej...

Znowu cisza. Niewiele się różni od ciszy, jaka zapada pomiędzy dwoma rewolwerowcami, którzy nagle odkryli, że zapomnieli zabrać swoje rewolwery. Ove przez kilka chwil wpatruje się w karton, trochę jakby czekał na jakąś deklarację z jego strony.

– Gdzie tu się wyciąga klawiaturę? – mamrocze w końcu.

Sprzedawca pociera wilgotne od potu dłonie o kant lady, nerwowo buja się na piętach, jak to często robią młodzi pracownicy sklepów, kiedy dociera do nich, że przeprawa z klientem wcale nie pójdzie tak szybko, jak początkowo sądzili.

– No więc ten tutaj nie ma klawiatury.

Ove unosi brwi.

– Aha! Żeby trzeba było kupować osobno, tak? I jeszcze płacić SAKRAMENCKIE pieniądze!

Sprzedawca znów pociera dłonie.

– Nie... to znaczy... a więc: ten komputer nie ma klawiatury. Wszystko robi się na monitorze.

Ove kręci głową zrezygnowany, jakby właśnie zobaczył, że sprzedawca liże szybę witryny z lodami.

– Ale ja muszę mieć klawiaturę. Chyba pan to rozumie, co?

Sprzedawca wzdycha głęboko, jak to czynią ludzie odliczający po cichu do dziesięciu.

– Okej. Rozumiem. W takim razie uważam, że to nie jest komputer dla pana. Zamiast tego powinien pan kupić MacBooka.

Wyraz twarzy Owego zdradza, że chyba nie jest do końca przekonany.

– Makbuka?

Sprzedawca entuzjastycznie kiwa głową, jakby właśnie w rokowaniach nastąpił decydujący przełom.

- Tak.

Ove podejrzliwie marszczy czoło.

- Czy to jest jeden z tych cholernych „czytników”, o których teraz wszyscy gadają?

Sprzedawca wzdycha z głębią epickiej poezji.

- Nie. MacBook to jest... to jest... laptop. Z klawiaturą.

- Aha! - syczy Ove w odpowiedzi.

Sprzedawca potwierdza skinieniem. Pociera dłonie.

- Tak.

Ove rozgląda się po całym sklepie. Jeszcze raz lekko potrząsa trzymanym w dłoni kartonem.

- A czy to się do czegoś nadaje?

Sprzedawca spuszcza wzrok i patrzy w ladę w taki sposób, jakby ze wszystkich sił powstrzymywał się, żeby nie wbić sobie paznokci w twarz. Potem rozjaśnia się niespodziewanym uśmiechem.

- Wie pan co? Zobaczę, czy mój kolega już skończył rozmawiać ze swoim klientem, to będzie mógł panu wszystko zaprezentować!

Ove spogląda na zegarek. Potrząsa głową.

- Niektórzy mają inne rzeczy do roboty niż tylko wystawać tu cały dzień i czekać!

Chłopak szybko kiwa głową. Potem znika za ladą. Po kilku chwilach wraca z kolegą o promiennym wyrazie twarzy. Tak wyglądają ludzie, którzy jeszcze nie pracowali zbyt długo jako sprzedawcy.

- Dzień dobry! W czym mogę panu pomóc?

Ove wycelowuje swój palec wskazujący w ladę.

- Chcę komputer!

Kolega sprzedawcy już nie jest tak promienny. Potem patrzy na tamtego pierwszego wzrokiem, którym zapowiada, że jeszcze się z nim policzy.

- Oookej. A więc komputer, dobrze. W takim razie możemy przejść do działu urządzeń przenośnych, tak na początek – zwraca się do Ovego, już bez początkowego entuzjazmu.

Ove rzuca mu ponure spojrzenie.

- Panie! Ja wiem, co to takiego laptop, do jasnej cholery! Nie musi pan mówić „przenośny”!

Kolega kiwa głową ze zrozumieniem.

Za jego plecami pierwszy sprzedawca mamrocze:

- Już nie wyrabiam, idę na lunch.

- Lunch, właśnie, teraz tylko to jedno ludziom w głowie – prycha Ove.

- Słucham? – mówi kolega i odwraca się do niego.

- LUNCH! – mówi dobitnie Ove.



## 2

*(Trzy tygodnie wcześniej)*

Mężczyzna imieniem Ove  
prowadzi inspekcję w sąsiedztwie

Była za pięć szósta rano, kiedy Ove i kot spotkali się po raz pierwszy. Kotu Ove od razu się nie spodobał. Uczucie to było w najwyższym stopniu odwzajemnione. Jak zwykle Ove wstał z łóżka dziesięć minut wcześniej. Nigdy nie rozumiał, jak ludzie mogą zaspać i tłumaczyć się potem, że „budzik nie zadzwonił”. Ove nigdy nie miał budzika, przez całe swoje życie. Budził się za piętnaście szósta i zaraz wstawał. Przygotował kawę. Wsypał do ekspresu dokładnie taką samą ilość zmielonych ziaren, jaką co rano zużywali razem z żoną przez niemal czterdzieści lat, które przemieszkali na tym osiedlu domków jednorodzinnych. Po miarce na filiżankę i jeszcze jedna dodatkowo dla dzbanka. Ani mniej, ani więcej. Teraz ludzie już tego nie potrafili, zaparzyć porządnej kawy. Tak samo jak nikt teraz nie umiał pisać ręcznie. Teraz wszędzie były tylko same komputery i ekspresy ciśnieniowe. A dokąd zmierzało społeczeństwo, w którym ludzie już nawet nie umieli pisać czy robić kawy? Co? Nad tym Ove się właśnie zastanawiał.

Podczas gdy jego porządna kawa przelewała się z filtra do dzbanka, włożył swoje granatowe spodnie, granatową kurtkę, wsunął stopy w chodaki i włożył ręce do kieszeni w taki sposób, w jaki to czyni mężczyzna w średnim wieku, który zawsze się spodziewa, że ten na wskroś zepsuty świat zaraz go rozczaruje, a potem wyszedł na inspekcję. Jak każdego ranka.

Kiedy wychodził, w okolicznych domach było cicho i ciemno. Można się domyślać. W tej dzielnicy nikt raczej nie prze-

męczał się zbyt wczesnym wstawaniem, Ove wiedział to dobrze. Teraz mieszkali tutaj przecież sami właściciele firm i przedstawiciele innych nieokreślonych zawodów.

Kot siedział z nonszalancką miną na środku chodnika między domami. Zresztą czy to naprawdę był kot? Miał pół ogona i tylko jedno ucho. Tu i ówdzie brakowało mu kępek sierści, jakby ktoś powyrywał ją całymi garściami. Prawdziwa kocia bida. Trudno go nawet nazwać całym kotem, pomyślał Ove.

Zrobił kilka kroków w stronę zwierzęcia, tupiąc głośno. Kot wstał. Ove się zatrzymał. Stali tak i mierzyli się wzrokiem przez kilka chwil, jak dwóch potencjalnych przeciwników późnym wieczorem w wiejskiej mordowni. Ove rozważał, czy nie rzucić w kota butem. Kot sprawiał wrażenie, jakby ubolewał nad tym, że sam nie ma żadnych butów do rzucenia.

– A sio! – ryknął Ove tak niespodziewanie, że kot zadrżał.

Zwierzak cofnął się o krok. Nie spuszczał wzroku z pięćdziesięciodziewięciolatka i jego chodaków. Potem zręcznym ruchem odwrócił się i poszedł w swoją stronę. Gdyby Ove nie znał kotów, niemal mógłby przysiąc, że widzi, jak kot przewraca oczami. Bydłę, pomyślał i zerknął na zegarek. Za dwie szósta. Czas ruszyć dalej, żeby kot nie spowodował opóźnienia całej inspekcji. Jeszcze by tego brakowało.

Tak więc Ove pomaszerował dróżką między domami w stronę parkingu, jak to czynił każdego ranka. Zatrzymał się przy tablicy oznajmującej, że ruch samochodowy jest zakazany na całym osiedlu. Kontrolnie kopnął lekko słupek, do którego była przymocowana. Nie żeby tablica była przechylona albo coś w tym rodzaju, ale po prostu zawsze lepiej sprawdzić. A Ove jest mężczyzną tego rodzaju, który zwykł kopać rzeczy, żeby skontrolować, czy wszystko jest w porządku.

Poszedł więc na parking i przechadzał się tam i z powrotem przed garażami, żeby sprawdzić, czy nikt się do które-

goś w nocy nie włamał lub czy grupka wandalii nie podłożyła ognia. Wprawdzie coś takiego jeszcze się nie zdarzyło w tej okolicy, ale przecież Ove nigdy nie odpuścił sobie swojej rundy. Kontrolnie nacisnął klamkę własnego garażu, gdzie stał zaparkowany jego saab. Sprawdził trzy razy. Dokładnie tak jak każdego ranka.

Potem zajął na parking dla odwiedzających, na którym można było zostawić auto maksymalnie na dwadzieścia cztery godziny, i w małym notesiku, który miał w kieszeni kurtki, starannie zapisał wszystkie numery rejestracyjne. Porównał z numerami, które zanotował na tych samych miejscach dzień wcześniej. Kiedy ten sam numer powtarzał się w jego notesiku dzień po dniu, Ove zwykle szedł do domu, dzwonił do urzędu komunikacji i żądał danych właściciela pojazdu, po czym dzwonił do delikwenta, żeby go poinformować, że jest cholernym tępym dupkiem, który nie umie czytać szwedzkich tablic informacyjnych. Nie dlatego, żeby Ove szczególnie przejmował się tym, kto zostawia samochód na tym parkingu. Oczywiście, że nie. Tu chodziło o zasady. Jeśli na tablicy było napisane dwadzieścia cztery godziny, to należało się tego trzymać. Bo jak by to wyglądało, gdyby wszyscy zostawiali samochody na całe dni, gdzie im się podoba? Powstałby chaos, to było dla Owego oczywiste.auta stałyby wszędzie.

Ale dzisiaj na parkingu dla gości nie stały żadne nielegalne pojazdy, więc Ove spokojnie kontynuował swoją codzienną rutynę i skierował się w stronę śmietnika. Właściwie to nie była jego sprawa, od początku głośno protestował przeciwko tym bzdurom, które te nowe mądrale przeforsowały w zarządzie osiedla, że wszystko trzeba sortować do upadłego. Ale skoro tak postanowiono, to należało sortować, czyli był potrzebny ktoś, kto dopilnuje tej sprawy. Wprawdzie nikt mu tego nie zlecał, ale gdyby ludzie tacy jak Ove sami nie przejmowali inicjatywy

w takich sytuacjach, wszystko skończyłoby się wielką anarchią. Ove dobrze o tym wiedział. Śmieci leżałyby wszędzie.

Lekkimi kopnięciami sprawdzał kontenery. Zaklął, po czym z pojemnika na szkło wydobył słoik i mamrocząc pod nosem coś o „partaczach”, odkręcił aluminiową pokrywkę. Słoik wrzucił z powrotem do szkła, a pokrywkę do odpadów metalowych.

Kiedy Ove był przewodniczącym zarządu osiedla, twardo domagał się zainstalowania kamer w śmietnikach, żeby sprawdzić, czy nikt nie wyrzuca „nieuprawnionych śmieci”. Ku jego wielkiemu rozczarowaniu propozycja została odrzucona większością głosów, ponieważ reszta mieszkańców uważała, że to byłoby „trochę nieprzyjemne”, poza tym byłby kłopot z archiwizowaniem nagrań wideo. Mimo że Ove raz za razem powtarzał z oburzeniem, że ten, kto „ma czyste ręce”, przecież wcale nie musi bać się „prawdy”.

Dwa lata później, kiedy Ove został zdjęty ze stanowiska przewodniczącego (w rezultacie „zamachu stanu”, jak potem to określał), kwestia kamer powróciła. Najwyraźniej istniały jakieś nowomodne kamery, które włączały się przez wykrywacz ruchu i wysyłały obraz bezpośrednio do Internetu, jak tłumaczył nowy zarząd w bezczelnym liście do wszystkich mieszkańców. Za ich pomocą można było obserwować nie tylko śmietnik, ale też parking, żeby zapobiegać wandalizmowi i włamaniom. Poza tym nagranie wideo samoczynnie kasowało się po upływie dwudziestu czterech godzin, żeby „nie naruszać prywatności mieszkańców”. Zainstalowanie tych kamer wymagało jednogłośnej zgody wszystkich członków spółdzielni. Tylko jeden głosował przeciwko.

A mianowicie Ove, który nigdy nie ufał Internetowi. Pisał go zawsze dużą literą i akcentował na ostatniej sylabie, choć żona tyle razy zwracała mu uwagę, że akcentuje się inaczej. A więc ten Internet nie będzie patrzył na Ovego, kiedy Ove wyrzuca

śmieci, po jego trupie, o tym zarząd miał się wkrótce przekonać. Więc nie było kamer. I bardzo dobrze, pomyślał Ove. Codzienne inspekcje i tak są lepsze. Żeby było wiadomo, kto co robi, żeby mieć to wszystko trochę bardziej pod kontrolą. Przecież każdy powinien to rozumieć.

Po zakończeniu inspekcji śmietnika zamknął drzwi na klucz i trzy razy szarpnął klamką. Potem odwrócił się i zobaczył rower oparty o ścianę przed przechowalnią rowerów. Mimo iż tuż nad nim znajdowała się tabliczka, na której jasno i wyraźnie było napisane: „Zakaz stawiania rowerów”. Obok roweru któryś z sąsiadów przykleił napisaną ręcznie kartkę „To nie jest parking dla rowerów! Naucz się czytać!”. Ove wymamrotał coś o „idiotach”, otworzył pomieszczenie, podniósł rower i ustawił go równiutko w rzędzie wraz z innymi. Zamknął przechowalnię i nacisnął klamkę trzy razy.

Potem zdarł ze ściany ręcznie napisaną kartkę. Pomyślał, że może powinien wysłać do zarządu wnioski o umieszczenie na tej ścianie porządnego szyldu „Naklejanie ogłoszeń zabronione”. Ludziom się najwyraźniej wydaje, że mogą sobie łązić i naklejać swoje złośliwe liściki, gdzie im się tylko podoba. Ta ściana to nie jest żadna cholerna tablica ogłoszeń!

Potem Ove poszedł dalej wąską dróżką między domami. Zatrzymał się przed własnym, nachylił się nad płytami chodnika i pociągnął nosem przy szczelinach. Siki. Śmierdziało sikami. Stwierdziwszy ten fakt, wszedł do swojego domu, zamknął drzwi i napił się kawy.

Kiedy skończył, zadzwonił do firmy telefonicznej i wypowiedział abonament, a potem odwołał prenumeratę porannej gazety. Naprawił baterię w małej łazience. Wymienił śrubki w klamce drzwi ogrodowych w kuchni. Natarł olejem blat kuchennego stołu. Poprzestawiał pudła na strychu. Uporządkował narzędzia w składziku i przeniósł na inne miejsce zimowe

opony do saaba. Potem zatrzymał się. I stoi. Nie tak życie miało wyglądać. Tak Ove się czuje.

Jest wtorkowe popołudnie w listopadzie, godzina czwarta, a on pogasił wszystkie lampy. Wyłączył kaloryfery i ekspres do kawy. Naolejował jeszcze raz blaty w kuchni. Choć te osły w Ikea mówią, że tych blatów nie trzeba olejować. W tym domu blaty naciera się olejem co pół roku, czy trzeba, czy nie trzeba. Niezależnie od tego, co mówi jakaś wymalowana jak cyrkówka dziewczynka w żółtej koszulce polo z magazynu samoobsługowego.

Stoi w salonie swojego piętrowego domu z połową strychu i wygląda przez okno. Właśnie przebiega ten czterdziestoletni fircyk z trzydniowym zarostem, który mieszka na skos po drugiej stronie ulicy. Chyba ma na imię Anders. Nowy na osiedlu, Ove dobrze wie, na pewno nie mieszka tu dłużej niż cztery-pięć lat. A już udało mu się wcisnąć do zarządu osiedla. Wstrętna żmija. Wydaje mu się, że ta ulica należy do niego. Zamieszkał tu najwyraźniej po rozwodzie i potwornie przepłacił. To typowe dla takich dupków, przychodzą tu i zawyżają podatek od nieruchomości dla porządnym ludzi. Jakby to była jakaś dzielnica dla bogaczy. Jeździ audi, jeszcze i to, Ove kiedyś zauważył. Zresztą można się było domyślać. Przedsiębiorcy i inne dupki, oni właśnie jeżdżą audi. Po prostu nie mają pojęcia.

Ove wkłada ręce w kieszenie swoich granatowych spodni. Kopie trochę wyzywająco listwę podłogową. Ten dom jest właściwie za duży tylko dla Ovego i jego żony, Ove musi to przyznać. Ale jest splotony. Nie ma ani korony kredytu. Na pewno nie można tego powiedzieć o tamtym fircyku. Teraz wszyscy tylko biorą kredyty, wiadomo, co ludzie wyprawiają. Ale Ove spłacił. Robił to, co należało. Chodził do pracy. Nigdy nie chorował, ani przez jeden dzień. Starał się być przydatny dla społeczeństwa. Brał odpowiedzialność. Teraz nikt już tego nie robi, nie bierze

odpowiedzialności. Teraz tylko wszędzie komputery, bajery, doradcy i politycy samorządowi, którzy chodzą do klubów porno i na czarno sprzedają ludziom mieszkania. Raje podatkowe i portfele akcji. Nikt już nie chce pracować. Cały kraj jest pełen ludzi, którzy tylko całym dniami chcą jeść lunch.

„Chyba przyjemnie będzie wreszcie trochę odpocząć?” – tak powiedzieli Oveemu wczoraj w pracy. Kiedy tłumaczyli, co to jest „przerost zatrudnienia” i że muszą „wyprowadzić starszą generację”. Ponad jedna trzecia życia w tym samym miejscu pracy, a teraz tak go nazwali. Jakaś cholerna „generacja”. Bo teraz wszyscy mają po trzydzieści jeden lat, noszą zbyt obcisłe spodnie i nie piją normalnej kawy. I nikt już nie bierze za nic odpowiedzialności. Wszędzie cała masa facetów z przystrzyżoną bródką, którzy zmieniają prace, zmieniają żony i zmieniają marki samochodów. Tak po prostu. Kiedy im pasuje.

Ove wygląda przez szybę. Fircyk dalej zawzięcie biega. Ale to nie jogging prowokuje Ovego, wcale nie. Ove ma gdzieś, czy ludzie biegają. On tylko nie rozumie, dlaczego od razu muszą robić z tego taką aferę. Obnosić się z tymi uśmieszkami samozadowolenia, jakby właśnie leczyli rozedmę płuc. Albo za szybko chodzą, albo za wolno biegają, to właśnie robią ci joggerzy. W taki sposób czterdziestoletni facet pokazuje światu, że niczego nie umie zrobić porządnie. Poza tym dlaczego muszą się w tym celu przebierać za dwunastoletniego rumuńskiego gimnastyka, czy to naprawdę konieczne? Czy koniecznie trzeba wyglądać jak członek olimpijskiej drużyny saneczkarskiej, jeśli chce się wyjść z domu i potruczać bez celu po okolicy przez trzy kwadranse?

Ma też dziewczynę, ten fircyk. Dziesięć lat młodsza. Ove mówi na nią blond flądra. Łazi taka po okolicy i chwieje się niczym pijana panda na tych swoich obcasach jak klucze nasadowe, twarz wymalowana niczym u klauna, do tego tak wielkie okulary przeciwsłoneczne, że nie wiadomo, czy to jeszcze oku-

lary, czy już kask. No i ma do tego takie małe zwierzątko, w sam raz pasujące do torebki, które biega wszędzie bez smyczy, bez przerwy szczeka i sika na kamienne płyty ścieżki przed domem Ovego. Ona myśli, że Ove tego nie widzi, ale Ove widzi wszystko. I nie tak to życie miało wyglądać. To tyle.

„Chyba przyjemnie będzie wreszcie trochę odpocząć?” – powiedzieli mu wczoraj w pracy. I teraz Ove stoi w kuchni przy naolejowanym blacie. Nie powinno być tak, że człowiek we wtorek ma czas na takie rzeczy. Wygląda przez okno na identyczny dom naprzeciwko. Najwidoczniej wprowadziła się tam rodzina z dziećmi. Obcokrajowcy, domyślił się Ove. Jeszcze nie wie, jaki mają samochód. Trzeba przynajmniej mieć nadzieję, że nie jest to audi. Albo jeszcze gorzej, jakiś japończyk. Ove kiwa sam sobie głową, jakby właśnie powiedział coś, z czym wyjątkowo mocno się zgadza. Spogląda na sufit w salonie. Dzisiaj wbije hak. I nie będzie to byle jaki haczyk. Pierwszy lepszy informatyk z diagnozą z wielkich liter i w nieokreślonym płciowo dzierganym sweterku, jakie wszyscy teraz noszą, mógłby wbić zwykły, zasrany hak. Ale hak Ovego będzie mocny jak skała. Zamierza osadzić go tak, że kiedy będą rozbierać całą chałupę, hak będzie ostatnią częścią, która się podda. Za kilka dni zjawi się tu jakiś gogus z biura maklerskiego, pod krawatem, z węzłem wielkim jak głowa niemowlęcia, i będzie coś nawijał o „potencjale renowacyjnym” i „efektywności powierzchni”, i dużo będzie mógł powiedzieć o Ovem, ale ani jednego złego słowa o haku Ovego. Żeby to było jasne.

Na podłodze w salonie stoi skrzynka Ovego z rzeczami, które mogą się przydać. W jego domu panuje taki podział. Wszystkie rzeczy, które kupiła żona Ovego, są albo „eleganckie”, albo „przyjemne”. Natomiast wszystko, co kupił Ove, to rzeczy, które mogą się przydać. Przedmioty, które mają jakąś funkcję. Trzyma je w dwóch skrzynkach, dużej i małej skrzynce na rzeczy przy-



datne. To jest mniejsza z nich. Zawiera gwoździe, śrubki, klucze i tym podobne.

Ludzie już nie mają rzeczy, które są przydatne. Teraz ludzie posiadają sam szajs. Dwadzieścia par butów, ale nigdy nie wiedzą, gdzie jest łyżka do butów. Cały dom zapchany mikrofalami i płaskimi telewizorami, ale nie znaleźliby ani jednego porządnego kołka rozporowego, nawet gdyby ktoś groził im kuchennym nożem.

Ove ma w swojej skrzynce z przydatnymi rzeczami całą przegródkę pełną kołków. Stoi teraz i przygląda się im, jakby były figurami szachowymi. Nie lubi pośpiechu przy wyborze odpowiedniego. To musi trochę potrwać. Każdy rodzaj kołka to inny proces, każdy ma osobny zakres zastosowań. Ludzie nie mają dzisiaj szacunku dla starej poczciwej funkcjonalności, teraz wszystko musi być tylko piękne i skomputeryzowane, ale Ove załatwia sprawy tak, jak należy je załatwiać.

„Przyjemnie będzie odpocząć” – tak powiedzieli w pracy. Przyszli do jego biura w poniedziałek i powiedzieli, że nie chcieli przekładać tego na piątek, żeby „nie zepsuć Oveму weekendu”. „Chyba się cieszysz, że będziesz mógł wreszcie trochę odpocząć” – powiedzieli. Co oni wiedzą o tym, jak to jest budzić się we wtorek rano i nie mieć już żadnej funkcji? Z tymi swoimi Internetami i kawą espresso, co oni wiedzą o braniu odpowiedzialności za sprawy?

Ove patrzy na sufit. Mruży oczy. Ważne, żeby hak był umieszczony centralnie, tak zdecydował.

I kiedy tak stoi pochłonięty sprawami najwyższej wagi, jego rozmyślenia brutalnie przerywa jakiś przeciągły szurający odgłos. Brzmiący wręcz jak dźwięk, który mógłby powstać, gdyby jakiś gamoń próbował cofać japońskim samochodem z przyczepą wzdłuż ściany domu Ovego.

## Mężczyzna imieniem Ove parkuje z przyczepą

Ove odsuwa na bok zasłony w zielone kwiaty, które żona Ovego przez lata chciała wymienić. Widzi niską, czarnowłosą, około trzydziestoletnią kobietę, ewidentnie obcego pochodzenia, wściekle gestykulującą w stronę o wiele za wysokiego blondyna w zbliżonym wieku, wciśniętego w fotel o wiele za małego japońskiego auta z przyczepą, które właśnie szoruje całą ścianę domu Ovego.

Gamoń za pomocą dyskretnych gestów i znaków usiłuje wytłumaczyć kobiecie, że to wcale nie jest takie łatwe, jak by się wydawało. Kobieta w odpowiedzi używa zdecydowanie mniej subtelnych gestów, którymi chce wyrazić, że prawdopodobnie wynika to stąd, iż gamoń jest kretynem.

– Do jasnej chole... – Ove wydaje z siebie ryk przez okno, kiedy jedno z kół przyczepy zahacza o jego rabatki.

Upuszcza na podłogę skrzynkę z przydatnymi rzeczami. Zaciśka pięści. Kilka sekund później jego drzwi frontowe odskakują nagle, jakby otworzyły się same ze strachu, że w przeciwnym razie Ove przejdzie przez nie na wylot.

– Co wy, do wszystkich diabłów, wyprawiacie? – krzyczy Ove na ciemnowłosą kobietę.

– Właśnie, sama się nad tym zastanawiam! – odkrzykuje nowa sąsiadka.

Ove przez chwilę jest zbity z tropu. Zerka na nią wrogo. Kobieta odwzajemnia spojrzenie.

– Nie wolno jeździć samochodem po osiedlu! Nie umie pani czytać szwedzkich szyldów?

Obca kobieta podchodzi do niego o krok bliżej i dopiero wtedy Ove zauważa, że ona albo jest w zaawansowanej ciąży, albo cierpi na coś, co Ove określiłby jako bardzo wybiórczo osadzoną otyłość.

– Przecież to nie ja jeżdżę!

Ove bez słowa wpatruje się w nią przez kilka sekund. Potem odwraca się w stronę wielkiego blond gamonia, który właśnie wygramolił się z japońskiego samochodu i unosi obie dłonie w górę w przeproszającym geście. Ma na sobie dziergany sweter, a jego postawa wskazuje na poważny niedobór wapnia.

– A kim pan jest? – pyta Ove.

– To ja jeżdżę tym autem. – Gamoń kiwa radośnie głową.

Musi mieć co najmniej ze dwa metry wzrostu. Ove odczuwa zawsze instynktowną nieufność do osób, które mają ponad metr osiemdziesiąt pięć. Wtedy krew nie daje rady dotrzeć do mózgu, tak mówi jego doświadczenie.

– Ach tak? Naprawdę? A wcale na to nie wyglądało! – natchmiast wyrzuca z siebie czarnowłosa ciężarna kobieta, która na oko jest o pół metra niższa od gamonia, i obiema rękami wali go w ramię.

– A kto to jest? – pyta Ove, nie spuszczać z niej wzroku.

– To moja żona. – Gamoń skłania się uprzejmie.

– Nie byłabym taka pewna na twoim miejscu, to już może długo nie potrwać – odgryza się kobieta, aż jej wielki brzuch podskakuje.

– To nie jest takie proste, jak się wy... – próbuje gamoń, ale żona zaraz mu przerywa.

– Mówiłam: w PRAWO! A ty dalej cofałeś w LEWĄ stronę! Bo nie słuchasz. NIGDY mnie nie słuchasz!

Potem wyrzuca z siebie trwającą co najmniej pół minuty wiązaną, która – jak Ove się domyśla – stanowi pokaz niezwykle rozwiniętego zasobu obelg w języku arabskim.

Blond gamoń w odpowiedzi kiwa tylko głową z nieopisanie błogim uśmiechem. Właśnie takim uśmiechem, który sprawia, że normalni ludzie mają ochotę spoliczkować buddyjskich mnichów, pomyślał Ove.

– Ech, no to przepraszam. To był mały wypadek, ale zaraz go naprawimy! – mówi gamoń, patrząc na Ovego, kiedy kobieta wreszcie milknie.

Potem beztrudnie wyciąga z kieszeni małe okrągłe pudełeczko i wkłada sobie pod wargę snus wielkości piłki do ręcznej. Sprawia wrażenie, jakby chciał poklepać Ovego po plecach.

Ove spogląda na gamonia takim wzrokiem, jak gdyby ten właśnie usadził kupę na masce samochodu Ovego.

– Naprawimy?! Pan stoi na mojej rabatce!

Gamoń patrzy na koło przyczepy.

– To mi jakoś nie wygląda na rabatkę. – Uśmiecha się beztrudnie i poprawia snus koniuszkiem języka.

– To jest rabatka! – stwierdza dobitnie Ove.

Gamoń kiwa głową. Przez chwilę przygląda się ziemi. Potem patrzy na Ovego, jakby myślał, że ten sobie z niego stroi żarty.

– No proszę pana, przecież to tylko ziemia.

Czoło Ovego ściąga się w jedną wielką, bardzo groźną zmarszczkę.

– To. Jest. Rabatka.

Gamoń drapie się z powątpiewaniem w głowę, aż na jego zmierzwionej grzywce zostaje trochę tabaki.

– Ale pan na niej niczego nie posadził..

– To nie pański zaszraniony interes, co ja robię ze swoją rabatką!

Gamoń pośpiesznie kiwa głową, wyraźnie zależy mu na tym, żeby jeszcze bardziej nie sprowokować tego obcego mężczyzny.

Odwraca się do żony, jakby się spodziewał, że ruszy mu z odsieczą. Ale ona bynajmniej nie sprawia takiego wrażenia. Gamoń znów spogląda na Ovego.

– Cięża, rozumie pan. Hormony i te rzeczy... – próbuje gamoń z uśmiechem.

Ciężarna się nie uśmiecha. Ove też nie. Kobieta krzyżuje ramiona na piersiach. Ove wsuwa dłonie za pasek. Gamoń najwyraźniej nie wie, co ma zrobić ze swoimi łapskami, więc zaczyna wymachiwać nimi w zakłopotaniu tuż przy tułowiu, jakby miał szmaciane ramiona, które trzepoczą na wietrze.

– Przesunę się i spróbuję jeszcze raz – mówi w końcu i znów posyła Oveму swój rozbrajający uśmiech.

Ove nie patrzy na niego rozbrajająco.

– Jazda samochodem jest zakazana na terenie osiedla. Są tablice informacyjne.

Gamoń cofa się o krok i gorliwie przytakuje. Potem podbiega do samochodu i znów wciska swoje o wiele za duże ciało w o wiele za mały japoński samochód.

– O Boże – mruczą równocześnie pod nosem Ove i ciężarna.

To sprawia, że Ove zaczyna jej jakby trochę mniej nie lubić.

Gamoń podjeżdża kilka metrów do przodu, Ove widzi wyraźnie, że nie wyprostował porządnie kół przyczepy. Potem znów zaczyna cofać. Prosto w skrzynkę na listy Ovego, aż krawędź przyczepy wbija się w zieloną blachę i wygina ją do środka.

– No nie... tego już... – syczy Ove, rzuca się do samochodu i szarpnięciem otwiera drzwi.

Gamoń znów przepaszająco rozkłada ręce.

– Moja wina! To moja wina! Przepraszam, ale wie pan, nie widziałem tej skrzynki w lusterku wstecznym. Trudno jest manewrować z przyczepą, nigdy nie wiem, w którą stronę mam skręcić...

Ove uderza zaciśniętą dłonią w dach samochodu, aż gamoń podskakuje i wali głową o kant drzwi. Wtedy Ove nachyla się do jego twarzy, tak blisko, żeby słowa nie zdążyły nawet złapać oddechu, zanim znajdują się w kanale słuchowym gamonia.

– Wyłaż z tego auta!

– Co?

– Powiedziałem: wyłaż z tego auta!

Gamoń patrzy na Ovego trochę wystraszony, najwyraźniej boi się zapytać, dlaczego ma wysiadać. Zamiast tego wychodzi z samochodu i staje przy nim jak uczeń odesłany do kąta. Ove pokazuje dróżkę między domami prowadzącą do przechowalni rowerów i na parking.

– Niech pan idzie tam, stanie i czeka, i mi się tu nie płącze pod nogami.

Gamoń kiwa głową, trochę rozkojarzony.

– Boże. Człowiek z amputowanymi ramionami i jaskrą zaparkowałby tę przyczepę szybciej i lepiej niż pan – mamrocze Ove, siadając za kierownicą.

Jak można nie umieć cofać z przyczepą? – zastanawia się. No jak? Czy to takie trudne, żeby zorientować się, gdzie jest prawo i lewo, a potem wszystko zrobić odwrotnie? Jak ci ludzie w ogóle radzą sobie w życiu?

Automatyczna skrzynia biegów, jasne, stwierdza. Można się było spodziewać. Te cymbały właściwie wołałyby wcale nie prowadzić swoich samochodów, myśli Ove, ruszając do przodu japońskim pojazdem. Teraz każdy chce, żeby auto najlepiej jeździło samo. Jak jakiś robot. Człowiek nawet nie będzie musiał ćwiczyć parkowania równoległego, zresztą czy w ogóle powinno się mieć prawo jazdy, jeśli ktoś sobie z tym nie radzi? Co? Ove uważa, że nie. Ove nawet nie przyznałby prawa wyborczego ludziom, którzy sobie z tym nie radzą.

Podjechał kawałek do przodu, ustawił przyczepę prosto, jak to robią cywilizowani ludzie, zanim chcą zaparkować z przyczepą, i wrzuca bieg wsteczny. Japońskie auto natychmiast zaczyna wściekle wyć. Ove rozgląda się rozszluszczony po kabinie.

– Ale co ty się, do jasnej... tak wydzierasz? – syczy w stronę deski rozdzielczej i wali w kierownicę. – Przestań, mówię ci! – wrzeszczy groźnie na pewną uporczywie migającą lampkę.

W tej samej chwili gamoń pojawia się przy samochodzie i stuka delikatnie w szybę. Ove otwiera okno i patrzy na niego z irytacją.

– To tylko przy cofaniu piszczy – wyjaśnia gamoń.

– Przecież wiem! – rzuca wściekle Ove.

Gamoń chrząka.

– To nie jest takie całkiem zwykłe auto, pomyślałem, że powinienem pokazać panu...

Ove prycha.

– Chyba nie jestem idiotą!

Gamoń gorliwie przytakuje.

– Ależ nie, skąd, oczywiście.

Ove zerka podejrzliwie na deskę.

– A teraz czego on chce?

Gamoń śpieszy z wyjaśnieniami:

– On sprawdza, ile mocy jeszcze zostało w baterii. Wie pan, zanim się przełączy z zasilania elektrycznego na silnik benzynowy. Bo to jest, wie pan... hybryda.

Ove nie odpowiada. Podnosi tylko bez słowa szybę.

Gamoń zostaje z niedomkniętymi ustami.

Ove spogląda w lewe lusterko. Potem w prawe lusterko. Potem cofa piszczący przeraźliwie japoński samochód i ustawia przyczepę idealnie równo pomiędzy swoim domem a domem gamonia i ciężarnej.

Wysiada i rzuca kluczyki gamoniowi.

– Radar cofania, asystent, kamery i całe to badziewie. Facet, który potrzebuje tego wszystkiego, żeby zaparkować auto z przyczepą, w ogóle nie powinien zabierać się do parkowania z przyczepą.

Gamoń odpowiada tylko radosnym skinieniem.

– Dziękujemy za pomoc! – woła, jakby Ove wcale nie obrażał go bez przerwy od dziesięciu minut.

– Pan nie powinien cofać nawet kasety w magnetofonie – mówi Ove, mijając go w drodze do siebie.

Ciężarna cudzoziemka nadal stoi z założonymi rękami, ale już nie jest taka rozzłoszczona.

– Dziękujemy! – mówi wesoło, kiedy Ove przechodzi obok niej, choć z takim uśmieszkiem, jakby usiłowała powstrzymać się od śmiechu, podejrzuwa Ove.

Ma największe brązowe oczy, jakie Ove kiedykolwiek widział.

– Na tym osiedlu nie jeździmy autem między domami, będziecie musieli to zaakceptować – odpowiada.

Kobieta wygląda, jakby dosłyszała, że Ove mówi „zaakseptować” zamiast „zaakceptować”, ale nic nie mówi. Ove prycha, odwraca się na pięcie i dalej idzie do siebie.

W połowie wyłożonej płytami ścieżki między swoim domem i składzikiem Ove się zatrzymuje. Marszczy nos w taki sposób, jak to potrafią robić mężczyźni w jego wieku, aż całe ich ciało ściąga się równocześnie. Potem opada na kolana, przysuwa twarz jak najbliżej do kamiennych płyt, które co roku sumiennie przekłada na drugą stronę, czy potrzeba, czy nie. Wciąga powietrze. Kiwa głową sam do siebie. Wstaje.

Ciemnowłosa kobieta w ciąży i gamoń nie spuszczaają z niego wzroku.

– Szczynty! Wszędzie tu są szczynty! – prycha Ove.

Wskazuje ręką płyty chodnika.



– O...kej – mówi ciemnowłosa kobieta.

– Nie! To wcale, do jasnej cholery, nie jest okej! – odpowiada Ove.

Idzie do swojego domu i zatrzaskuje za sobą drzwi.

Siada na taborecie w przedpokoju i siedzi przez kilka chwil, dopóki nie uspokoi się wystarczająco, żeby zająć się czymś innym. Cholerna baba, myśli. Co ona sobie wyobraża, kiedy tak się tu wtarabania ze swoją rodziną i zachowuje się, jakby nie umiała przeczytać tablicy informacyjnej, którą ma tuż przed swoim nosem? Nie wolno jeździć samochodami po osiedlu. Przecież wszyscy o tym wiedzą.

Ove wstaje i wiesza granatową kurtkę na wieszaku, pomiędzy oceanem płaszczy i kurtek swojej żony. Mruczy jeszcze: „Idioci” w stronę zamkniętego okna, tak na wszelki wypadek. Potem staje na środku salonu i wbija wzrok w sufit.

Nie wie, ile czasu tak stoi. Pograża się w myślach. Odpływa jak we mgle. Nigdy nie był typem człowieka, który robi takie rzeczy, nigdy nie śnił na jawie, ale w ostatnim czasie coś jakby pomieślało mu w głowie. Koncentracja przychodzi mu z coraz większym trudem. Wcale mu się to nie podoba.

Kiedy rozlega się dzwonek do drzwi, czuje się jak wyrwany z błogiej drzemki. Przeciera mocno oczy, rozgląda się dookoła, jakby się bał, że ktoś go obserwuje.

Znów odzywa się dzwonek. Ove odwraca się i patrzy na niego, jakby kazał mu się wstydzić. Robi kilka kroków w stronę przedpokoju, zauważa, że jego ciało jest sztywne jak wyschnięty gips. Nie jest pewien, czy to deski podłogi tak trzeszczą czy jego kości.

– A co to znowu takiego? – zwraca się do drzwi, zanim je otworzy, jakby drzwi mogły udzielić mu odpowiedzi. – No co

to znowu? – powtarza, otwierając drzwi z takim impetem, że gwałtowny podmuch odrzuca do tyłu trzyletnią dziewczynkę, która zaskoczona ląduje na pupie.

Obok niej stoi siedmiolatka, też z wyrazem przerażenia na twarzy. Obydwie mają całkiem czarne włosy. I największe brązowe oczy, jakie Ove kiedykolwiek widział.

– No? – mówi Ove.

Starsza z dziewczynek przygląda mu się nieufnie. Potem wyciąga do niego plastikowy pojemnik. Ove niechętnie bierze go z jej rąk. Jest ciepły.

– Rys! – wykrzykuje radośnie trzyletnia dziewczynka, szybko stając na nogi.

– Z szafranem. I kurczakiem – odzywa się siedmiolatka, już trochę ostrożniej.

Ove przygląda się im nieufnie.

– Sprzedajecie coś czy jak?

Starsza dziewczynka sprawia wrażenie urażonej.

– My tu przecież MIESZKAMY!

Ove milknie na chwilę. Potem kiwa głową. Jak gdyby był gotów potraktować tę okoliczność jako wystarczające wyjaśnienie.

– Aha.

Młodsza przytakuje z zadowoleniem i wymachuje trochę zbyt długimi rękawami kurtki.

– Mama mówiła, że jesteś głodny!

Ove patrzy nic nierozumiejącym wzrokiem na to ruchliwe i sepleniące stworzenie.

– Co?

– Mama mówiła, że jesteś głodny. Więc miałyśmy zanieść ci obiad – wyjaśnia siedmioletnia dziewczynka z lekką irytacją. – Chodź, Nasanin – zwraca się potem do trzylatki, bierze ją za rękę, rzuca jeszcze Owemu oskarżycielskie spojrzenie i obydwie odchodzą.

Ove wysuwa głowę z drzwi i spogląda za nimi. Widzi czarownicą kobietę w ciąży w drzwiach sąsiedniego domu. Kobieta posyła mu uśmiech, kiedy dziewczynki wchodzi do środka. Młodsza odwraca się na progu i wesoło macha mu ręką. Ciężarna też macha. Ove zamyka drzwi.

Znów znajduje się w przedpokoju. Gapi się na ciepły pojemnik z kurczakiem i ryżem szafranowym, jak ktoś mógłby patrzeć na pudełko nitrogliceryny. Potem idzie do kuchni i wkłada pojemnik do lodówki. Nie żeby miał w zwyczaju zjadać wszystko, co jakies cudzoziemskie bachory podrzucą mu do sieni. Po prostu dlatego, że w domu Ovego nie marnuje się jedzenia. Z zasady.

Ove idzie do salonu. Wkłada ręce do kieszeni.

Patrzy na sufit. Stoi tak dłuższą chwilę i zastanawia się, który kołek będzie najlepszy dla jego potrzeb.

Stoi tam, aż oczy zaczynają go boleć od mrużenia. Spogląda w dół i zdezorientowany patrzy na swój wypukły zegarek ręczny.

Znów wygląda przez okno i stwierdza nagle, że zrobiło się ciemno. Zrezygnowany potrząsa głową.

Nie ma sensu zaczynać wiercić, kiedy jest ciemno, to jest przecież jasne dla każdego. Wtedy trzeba zapalić wszystkie światła i nie wiadomo, kiedy będzie można znów je zgasić. Za bardzo by się wtedy cieszyli ci cholerni dostawcy prądu. Niech sobie nie myślą, że Ove będzie sobie nabijał tysiące koron rachunku. Niedoczekanie.

Składa swoją skrzynkę z przydatnymi rzeczami. Niesie ją do dużego przedpokoju na piętrze. Idzie po klucz do strychu, który leży na swoim miejscu, za kaloryferem w małym przedpokoju. Wraca na górę i odkłada skrzynkę na swoje miejsce, za kuchennymi krzesłami, które musiał wynieść na górę, bo jego żona twierdziła, że za bardzo skrzypią. Wcale nie skrzypiały. Ove wie, że to był tylko zmyślony pretekst, bo jego żona po prostu chcia-

ła kupić nowe. Jakby tylko o to chodziło w życiu. Kupowanie krzeseł do kuchni, jądanie w restauracjach i tym podobne rzeczy.

Znów schodzi na dół. Chowa klucz do strychu na swoje miejsce za kaloryferem w małym przedpokoju. „Nie przejmuj się” – tak mu mówili. Trzydziestojednoletnie szczawie, które pracują z komputerami i nie piją normalnej kawy. Całe społeczeństwo ludzi, z których nikt nie potrafi zaparkować auta z przyczepą, i właśnie to oni mu mówią, że on już nie jest potrzebny. Czy to ma sens?

Ove znów idzie do salonu. Włącza telewizor. Nie żeby lubił oglądać telewizję, ale przecież nie może siedzieć cały wieczór i gapić się w ścianę jak idiota. Wyjmuje z lodówki zagraniczne jedzenie i wyjada je widelcem prosto z pojemnika.

Ma pięćdziesiąt dziewięć lat. Jest wtorek wieczorem, a on dzisiaj odwołał prenumeratę gazety. Pogasił wszystkie lampy. A jutro umocuje ten hak.